

OGŁOSZONA PRZEZ NAS
ANKIETA SPOTKAŁA SIĘ Z
DUŻYM ZAINTERESOWANIEM
NASZYCH CZYTELNIKÓW. SĄ
DZIMY, ŻE JEJ WYNIKI
ZNACZNIE POMOGĄ NAM W
PRACY, PODNIOŚĄ POZIOM
„GŁOSU WIELKOPOLSKIE-
GO“, BY LEPIEJ SŁUŻYŁ ON
SPRAWIE POLSKI LUDOWEJ
— SPRAWIE UMACNIENIA
ZWYCIĘSTWA SOCJALIZMU
W NASZEJ OJCZYZNIE.

ŚWIAT DZIŚ

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU“
Niedziela, 27 VI 1954
Rok V numer 24

Święto naszego morza



Pierwsze wnioski

Każdy Wasz list — drodzy Czytelnicy — czytamy nie-
zwyczajnie uważnie. Otrzymujemy
ich w odpowiedzi na ogłoszoną
dwa tygodnie temu ankietę —
bardzo wiele. Wyrażacie w
nich, co jest dla nas szczegól-
nie wzruszające, najbardziej
osobisty stosunek do swojego
pisma. Znajdujemy w codzien-
nej porcji kilkudziesięciu li-
stów „ankietowych“ takie o-
kreślenia:
„Głos jest moim codziennym
przyjacielem i towarzyszem,
bez niego czuję się samotny“
— albo — „Dawniej, za san-
cji — pisze stary, doświadczony
robotnik — nikt nie pytał
o zdanie prostych ludzi, a Wy,
obywatele redaktorzy, prosicie
o radę i krytykę. Bardzo mi
się to podoba, więc chętnie pi-
szę co o naszym wspólnym
„Głosie“ myślę.“

Najwartościowsi przyjaciele

Po pierwszym przejrzeniu
kilkuset listów, jakie wpłynęły
do chwili, gdy powstaje ten ar-
tykuł, widzimy, że czytelnicy
dobrze naszą przyjaźń pojmu-
ją. Odpowiadając na ankietę,

szczerze wskazują nam błędy.
Domagają się poprawy. Wspól-
nie z redakcją radzą — na
wielkiej listownej konferencji,
gdzie każdy jest zaproszony do
głosu — by „Głos Wielko-
polski“ lepiej wypełniał swe
zadania, pomagał społeczeń-
stwu w usuwaniu wszystkiego,
co przeszkadza na drodze mar-
szu ku socjalizmowi, by uczył,
wychowywał — i dawał co-
dzienną rozrywkę.

Jeszcze za wcześnie na bi-
lans. Wymagać on będzie żmud-
nej pracy przestudiowania
każdego listu, każdego żądania,
każdej prośby o interwencję
(bo wielu czytelników „przy o-
kazji“ prosiło redakcję o po-
moc w wielu sprawach społecz-
nych i osobistych). Większość
uczestników ankiety nadsyła
nam przemyślane, obszerne od-
powiedzi, nierzadko sięgające
wielu kartek drobnego pisma
na kancelaryjnym papierze.

Porozmawiajmy więc o kilku
postulatach czytelników.

Sprawy międzynarodowe — bardzo ciekawe

Tylko autorzy dwu listów gło-
sowali przeciwko „tygodniowe-
mu przeglądowi wydarzeń“. Re-
szta — jak napisał jeden z czy-
telników „głosuje oboma ręk-
mi“ — za. Ta więc sprawa jest
bezsprzeczna. Redakcja powinna
wsprowadzić stały, tygodniowy
przegląd wydarzeń politycz-
nych.

A kiedy go drukować?
Tu znajdujemy zwolenników
dwu dni w tygodniu: soboty i
niedzieli. Sądzymy jednak, że
lepszym terminem byłby ten
pierwszy.

Ogólnie można by powiedzieć,
że autorzy wszystkich niemal
odpowiedzi na ankietę pragne-
liby szerszej, lepszej, pełniej-
szej informacji o problemach
międzynarodowych. Czystym
przy tym głosem jest prośba o
możliwie wyczerpujące omówie-
nie najbliższej nam, niemal o-
sobiście nas obchodzącej spr-
awy narodu niemieckiego.

„Krótkie notatki, albo te, jak
je nazywacie... krótkie fale, nie
wystarczają — pisze jeden z
czytelników. — Dobrze, że dru-
kujecie o hitlerowskich gene-
rach, adenauerowskich mini-
strach, co by chcieli nam ziemie
zaodrzańskie zabrać, ale my
wiemy, że oni łobuzy. Nam by
jeszcze poza tym trzeba czegoś,
o tym, jak żyje, co robi, czego
chce niemiecki robotnik, chłop,
inteligent po obu stronach La-
by...“

Wiele jest także głosów, pro-
szących o ciekawe koresponden-
cje ze Związku Radzieckiego,
o wielkich budowach komuniz-
mu i walce z przyrodą.

„A tak, o czym słyszałem w
Czechosłowacji, w Bułgarii, Ru-
munii, czy w innych krajach
demokracji ludowej, to już pi-
szecie bardzo mało, chyba od
jakiegoś święta tamtego brat-
niego kraju — pisze jedna z
czytelniczek. — My chcieliby-
my wiedzieć jak najwięcej i o
walce ludów kolonialnych o
wolność, o działaczach postępo-
wych i walce z kapitalizmem w
krajach tak zwanego Zachodu.
Głos drukuje listy z zagranicy,
ale tego jest za mało. Trzeba,
żeby było więcej.“

Problem wiejski — dla każdego

Popatrzmy na inny problem:
„Czy „Głos“ właściwie omawia
problemy wsi współczesnej?“
Niekiedy czytelnicy są zdania,
że na to pytanie trzeba odpo-
wiedzieć twierdząco. Większość
jednak pragnęłaby czegoś wię-
cej, niż jest w tej chwili. Ow-
szem — chłopci, pracownicy
PGR lub spółdzielcy — proszą
o rozbudowanie działu popula-
ryzacji wiedzy rolniczej: „Roz-
mowy z inżynierem“, omawia-
nie spraw sadu, warzywnika,
ogrodu kwiatowego, lecz kilku-
nastu czytelników pisze wprost,
jak na przykład ZOFIA KU-
BIAKÓWNA z Leszna:

„Ponieważ wyjeżdżam z eki-
pą naszych zakładów na wieś,
chciałabym, aby redakcja po-
mogła mi w poznaniu i zro-
zumieniu wielu spraw wiejs-
kich, a także pomogła w tym,
jak można pomóc wiejskiej mło-
dzieży. Uważam, że więcej trze-
ba by pisać o młodzieży na wsi,
jej trudnościach i sukcesach...“

Inny uczestnik ankiety —
Antoni Krzyształowski — wręcz
zapropował, by „Głos“ druko-
wał takie „ABC Problemów
Wiejskich“, które zapoznałoby
z nimi w sposób przystępny
mieszkańców miast.

Wielu innych czytelników do-
maga się także dobrej inform-
acji o życiu wsi: rozwoju spół-
dzielczości produkcyjnej, wyni-
kach hodowli, zbiorów z hek-
tara itp. Wynika również z od-
powiedzi na naszą ankietę —
że jeszcze za mało krytykujemy
błędy w pracy gminnych in-
stancji — rad narodowych i
„geosów“ itp. Krytyka taka,
pilnowanie przez nasz „dział
listów i interwencji“ załatwie-

nia sprawy — pomaga w ich
codziennym życiu. Chcą więc
(a żądanie jest słuszne), by
gazeta tym sprawom więcej
miejsca — także na stronie hu-
moru i satyry dodatku Nowy
Świat — poświęcała.

Musimy złożyć samokrytykę

Jeśli już mowa o satyrze, to
musimy się przyznać, że wielu
czytelników naszą niedzielną
stronę (= kolumnę) kryty-
kowało. Jakiego rodzaju są to
zarzuty?

Zasadniczym jest brak saty-
ry „konkretniej“, a więc
krytyki istniejącego w życiu
kacyka, kumotra, brakoroba,
bałaganiarza, bumelanta, deto-
loga, sodowiarza, świdołba,
nudziarza, nadgorliwca, ślepo-
gania — a wreszcie typów zde-
cydowanie wrogich: kulaków,
wydrwigroszów, oszustów, dwu-
licowców i jeszcze innych chwa-
ściaków.

Jeden z wymienionych poprze-
dnie czytelników przypomniał,
że redakcja kiedyś prosiła o
nadsyłanie „satyrycznych spo-
strzeżeń“ i pyta, czy nie mo-
żna by tego nadal kontynu-
ować. Bardzo o to prosimy.
Niechby czytelnicy donosili re-
dakcji o wszelkich takich
„kwiatach“. Postaramy się z
nimi co prędzej „zapoznać“, wy-
rwać z korzeniami, by innym
nie psuły żywota. A autorów
celnych spostrzeżeń — będzie-
my osobno nagradzać. List nie
musi być przy tym opracowany
jako felieton. Wystarczy prze-
cież krótkie, rzeczowe podanie
faktów.

Druga kategoria zarzutów,
to kwestie, jakby je nazwać —
związane z techniką. A więc
przede wszystkim krytyka zbyt
małych rysunków, które stają
się skutkiem tego „nieczytel-
ne“. Uwaga słuszna — już od
pewnego czasu staramy się, by
dawać rysunki większe.

Poza tym niektórym uczest-
nikom ankiety nie podoba się
„nadmiar rysunków Henryka
Derwicha“ i to, że zdarza się,
że on sam całą kolumnę ilu-
struje. Ob. MARIAN DZIUR-
LEJA przysłał nawet taką oto
fraszkę z rysunkiem, w któ-
rej „Głos Wielkopolski“ mar-
twi się:

Co będzie ze mną u licha,
gdy mi zabraknie Derwicha?
Możemy ob. Mariana Dziur-
leja uspokoić, że „jakoś dali-
byśmy radę, u licha, gdyby za-
brakło...“ — lecz z drugiej stro-
ny bardzo sobie współpracę z
naszym rysownikiem cenimy.
Taką zresztą opinię wyraża o-
gromna większość naszych czy-
telników piszących o tym w li-
stach. Inna sprawa, że słusz-
nym jest żądanie rozszerzenia
kręgu autorów.

O zdrowy, dający siłę, śmiech

Ostatnim zarzutem obarcza
się naszą redakcję, że drukuje
„zbyt słaby humor, nie wzbud-
zający zdrowego, krzepiącego
siły śmiechu, dającego wiarę w
życie“.

Staramy się — jak możemy
— by właśnie takie pożyty
drukować na stronie satyry, by
spełniały one te zadania, ale
— samokrytycznie przyznaje-
my — nie zawsze się nam to
udaje. Spróbujemy tę poważną
słabość przełamać, i nie druko-
wać „fraszek, które są jak bia-
łe plamy i lepiej, żeby ich wcale
nie było“.

A ni się człowiek nie spodział,
gdy trzeba kończyć arty-
kuł. Oczywiście nie wyczerpa-
liśmy nawet piątej części tych
wszystkich zagadnień, które po-
ruszają w listach czytelnicy.
Zresztą — ankietę jeszcze
trwa, gdyż na prośbę wyrażo-
ną przez kilku czytelników —
przedłużyliśmy termin nadsy-
łania odpowiedzi do 1 lipca. Je-
szcze więc do sprawy ankiety
kilkakrotnie wrócimy.
Do zobaczenia więc na szpal-
tach naszego wspólnego
pisma.

JANUSZ LIKOWSKI

Franciszek Fenikowski

Starogdańska baśń

Gdy łód skuł rzekę, śnieg okrył zawał
w gdańskiej gospodzie opodał Żurawia,
owiana jeszcze dalekiej wyprawy
wiatrem, żeglarska brat obiadła ławy.
Za drzwiami zamieć, zwolują się straża,
a tutaj stary Kaszub, igras nad igrasze
tego tykającego zamorskiego wina
taką opowieść druhom snuć pocyna:

Było to roków temu z dziesięć chyba,
młczalem o tym dotąd niby ryba,
korab nasz właśnie do Skandii zawinął,
tamem to poznał się z jedną dziewczyną.
Owa to Szwedka, ruda, białolica
i — jakom potem pojął — czarownica,
widząc, żem człek do tańca i oręża,
gwałtem mnie chciała wziąć sobie za męża.

Wciąż zaklinała, prosiła co siły:
„Dajże mi pukiel włosów, Pietrze miły“,
Jakoż odmówić było białogłowie?



rys. F. Śmielowski

Serce mam miękkie, wszak wiciecie druhowie,
gdy więc mnie żegnać przyszła do przystani,
dałem jej kosmyk z mej... szuby baraniej.
A ona na to, chichocząc nieskrupnie:
„Tera choć zza mórz siedmiu wrócisz do mnie“.

Chwieje się mała koga pod pułapem,
Piotr na stół kładzie spierzchniętą dłoń jak mapę
porysowaną w dziwne wiatrów róże
i linie brzegów drżną w białym murze —
cienie żeglarzy w skórzanych kaftanach,
schyla profile głów brat zaskuchana,
w rękach szklance dzwiewczą winem złote:
— Twe zdrowie, Pietrze, mów, co było potem?

Potem — powiada — podnieśliśmy kotwicę,
a ja pod masztem ściele baraniec.
Chcę zasnąć, brzeg już we mgle się rozplywa,
a tu ma szuba rusza się, jak żywa
brykać pocyna, z dłoni mi ucieka
i leci tam, gdzie Skandya daleka.
Tak bym ja leciał nad morskimi grzywy,
gdybym tej wiedźmie dał pukiel prawdziwy.

Buchnął śmiech huczny jak fala przyboju
pod pułap. Karczmarz w holenderskim stroju,
co w kacie izby na beczce brzuchatej
liczył talary, guideny, dukaty,
podniósł łeb łysy, zmrużył oczka, ale
patrzac w gospody głab nie pojął wcale,
że tam się oto narodziło właśnie
najszczerze złoto starogdańskiej baśni.

Jak głęboko by nie sięgać w
historię Polski, zawsze — czy to
w epoce panowania Piastów, w
okresie Jagiellońskim i później —
odnajdziemy starania światłych
polityków i wodzów o rozszerze-
nie polskiego wybrzeża, rozbudo-
wę floty wojennej i handlowej
oraz morskiego handlu. Morze
bowiem, najtańsza droga trans-
portowa — daje każdemu na-
rodowi wielkie korzyści i bogac-
two; w sposób najprostszy łączy
z wszelkimi krajami na całym
świecie, daje prawdziwą niepod-
ległość.

Dziś — w dniu Święta Morza
— obchodzimy także „Dzień
Stoczniołwa“. Trzeba przypom-
nieć, że przed wojną posiadali-
my tylko doki reperacyjne i
stocznie małych, rybackich ku-
trów, których i tak większość
sprowadzaliśmy z Niemiec i Ho-
landii. Dziś posiadamy rozwinię-
ty przemysł stoczniołowy. Buduje-
my statki pełnomorskie (patrz
zdjęcie 2) o znacznej wyporno-
ści, najnowocześniejsze w kon-



Niewielki pasek wybrzeża —
te 141 kilometry, które posiada-
liśmy w okresie międzywojen-
nym — nie mogły stworzyć wa-
runków rozwoju tonażu statków
handlowych, nie mówiąc o flocie
wojennej, która tego wybrzeża
miała pilnować. Marynarka wo-
jenna przedwrześniowej Polski
nie posiadała dostatecznej siły,
by odegrać jakąkolwiek strate-
giczną rolę. A wybrzeże? Dostęp
do niego był tak wąski, że hit-
lerowcy nazwali go „sztycerczo-
„korytarzem“. Już trzy dni po
wybuchu wojny — 1 września
1939 roku — przestał on faktycz-
nie istnieć.

A jak wygląda nasze wybrzeże
dziś? To nie tylko sprawa kilome-
trów, które powiększyły kilka-
krotnie jego długość, to nie tyl-
ko fakt, że w tej chwili posia-
damy trzy wielkie porty —
Gdańsk, Gdynię i Szczecin, oraz
kilka mniejszych, to także posia-
danie przez nas dostatecznie sil-
nej floty wojennej, na której
pływają doskonale wyszkoleni

struści rudo-węglowce, nie tyl-
ko na potrzeby własne — a także
na zagraniczne zamówienia.

Osobną sprawą — to zdobycie
przez polskich nurków przedsię-
wzięcia „Polskie Ratownictwo
Określowe“ wielkich kwalifikacji.
Ogromnym sukcesem było prz-
cież wydobywanie kolosa floty w



polscy marynarze (patrz zdję-
cie 1), obrońcy polskiego morza.
Oni zapewniają bezpieczeństwo
naszych portów i rozwoju gospo-
darki morskiej.

jennej Niemiec hitlerowskich —
pancernika „Gneisenau“, który
dostarczył naszym butom wiele
tysięcy ton cennej stali do przeto-
pu. W ostatnich kilku tygod-
niach zakończono wydobywanie
na powierzchni zatopionego w
czasie wojny wraka wielkiego
transportowca (zdjęcie 3), który
leżał na dnie morza w okolicach
Jastarni.

Zaś młodzi marynarze co roku
wyjeżdżają na rejs szkolny
„Darem Pomorza“ (zdjęcie 4).

Dziś naród nasz głęboko rozu-
mie słowa Bolesława Bieruta:
„MORZE TO WIELKI TEREN
PRACY, TO POTĘŻNE ŹRÓDŁO
BOGACTW, TO ROZLEGŁE
SZLAKI ŻEGLUGOWE, WIĄ-
ŻĄCE KRAJ ZE ŚWIATEM, TO
NIEZWYKŁE SPRZYJAJĄCY
CZYNNIK DLA ROZWOJU
HANDLU I WSPÓŁPRACY MIE-
DZYNARODOWEJ.“ I WŁAŚNIE
DLATEGO NARÓD POLSKI
STRZEŻE SWOJE GRANIC
MORSKIEJ JAK ŻRENIWY O-
KA I WŁAŚNIE DLATEGO
WRAZ Z LUDŹMI MORZA CAŁY
NARÓD POLSKI ŚWIĘCI
DZISIEJSZY DZIEŃ.



Kilka dni na wyspie Wolin

Sezon wakacyjny rozpoczyna się w Międzyzdrojach już od połowy maja. Ale jeszcze w końcu czerwca nie wszystkie miejsca w domach wczasowych są wykorzystane — bo miłośnicy wczasów nad morskimi najchętniej wybierają miesiące w pełni lata: lipiec i sierpień. I, czasem spotyka ich zawód, podczas gdy od szeregu już lat najpiękniejszym, najbardziej upalnym i najmniej deszczowym miesiącem na Pomorzu Zachodnim jest właśnie czerwiec.

„BIALI” I „MULACI”

W ubiegłą niedzielę odbyła się tu uroczystość otwarcia Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki. Klub mieści się w ładnie urządzonej lokali, w pobliżu Centralnego Domu Funduszu Wczasów. Około 400 pism krajowych i zagranicznych i doskonała kawa z ekspresu są do dyspozycji wczasowiczów, którzy już w dniu otwarcia wypełnili lokal po brzegi — najpierw, by wysłuchać dość udanej „składanki” w wykonaniu szczecińskiego „Artosu” a później zagłębić się w lekturze.

Wędrujemy na plażę. Rozciąga się ona szeroko po obu stronach mola, roi się nie tylko od opalonych na brąz ciał wczasowiczów, ale od tysięcy przyjeźdźców, którzy przybyli tu pociągami lub samochodami z całego Pomorza Zachodniego — z samego Szczecina sporo przybyło statkami.

WIĘKSZY PORZĄDEK

Plaża jest znacznie czystszej utrzymana, aniżeli w latach ubiegłych, stare poszarpane kosze bądź wymieniono na nowe, bądź gruntownie wyremontowano. Ale w samym środku plaży strasznie nie odbudowane jeszcze molo: po obu jego stronach stopy bełek, desek, ostrużyn. Marcowy sztorm zmiotł do morza większą część mola — ale w ciągu trzech miesięcy można je już było odbudować. Niezbyt dobrze to świadczy o energii miejscowych władz od odpowiedzialnych za utrzymanie porządku i estetyki w tym reprezentacyjnym ośrodku wczasowym Pomorza Zachodniego.

NOWOŚCI

Za to obficie zaopatrzone liczne sklepy w nieuszkodzonej części mola, otwarto wzorcowy bar mleczny, nowy piękny kiosk C. P. L. i A., gdzie zaopatrzyć się można w oryginalne pamiątki. Ładnie utrzymane są kwietniki wzdłuż bulwaru nadmorskiego.

Dwie godziny spędzone na białym i miłym jak puch piasku na plaży, przy kąpielach w morzu, przy obserwacji szumie fal morskich — napawa otuchą i optymizmem. W tym nastroju utwierdza nas wizyta w nowo otwartym lokalu gastronomicznym „Oaza”. Obsługa wzorowa, po trawy znakomite — przygrywa doskonała orkiestra, sprostowana aż... ze Stalino, repertuar przeważnie... włoski, ale naprawdę bardzo dobry. Zdziwiała tylko wzmianka w cenniku, która głosi, że „za działalność rozrywkową” (!) pobiera się tu 10 procent dodatku.

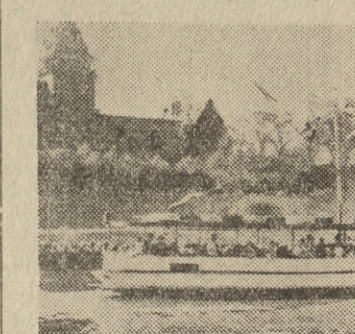
ZYCIE KULTURALNE I BEZ 10 PROCENT

„Działalność rozrywkowa” nie ogranicza się oczywiście do „Oazy”. Niedawno odbyła się w Międzyzdrojach specjalna konferencja, poświęcona organizacji życia kulturalnego. Tym razem nie porzeczano na uchwałach — są już ich realne wyniki. Zespół Teatrów Szczecińskich dał tu trzy występy — było to przedstawienie komedii Czechowa „Wujaszek Wania”. Przyjeżdżają dość często ekipy „Artosu” nie tylko ze Szczecina ale z Gdańska, a nawet z Krakowa. Jest stałe kino, przyjeżdżają na występy zespoły amatorskie, jak ostatnio Zespół Pieśni i Tańca szczecińskiego Klubu Robotniczego Z. B. M. Niezłe pracują instruktorzy kulturalni — oświatowi Ośrodka Wczasowego, zorganizowano już szereg wycieczek do Szczecina. W tym roku wczasowicze nie skarżą się na nudę.

WŁASNE SZCZĘŚCIE I HUMOR KIEROWCÓW

Korzystamy z okazji, by w następnych dniach odwiedzić mniejsze miejscowości poło-

żone na wyspie Wolin: Wiskę i Międzywodzie oraz — już na lądzie stałym — Dziwnów. Z „okazji”, tj. przysługujących zatrzymanych samochodów, bo... autobusy do tych



Wycieczka statkiem ze Szczecina do Międzyzdrojów — to najmilsza atrakcja w upalne niedziele.

miejscowości nie dochodzą! trzeba w tych podróży zdać się na własne szczęście

Co to jest śmierć?

Odpowiedź na to trapiące pytanie daje książeczka Andrzeja Grębeckiego pod takim właśnie tytułem.

Autor rzeczowo tłumaczy czytelnikowi, że śmierć nie jest czymś bezsensownym, lecz powszechnym prawem przyrody, że istnieje ona po to, by mogło istnieć życie. Z książki Grębeckiego czytelnik dowiaduje się, że istnieją różne rodzaje śmierci, np. śmierć płciowa, gdy samo dokonanie funkcji rozrodczych sprowadza za sobą nieuchronnie zakończenie życia zwierzęcia czy rośliny. Bywa też tzw. śmierć konstytucyjna, kiedy organizm zamiera z powodu braku jakiegoś niezbędnego do życia organu. Najciekawszą przyczyną śmierci jest — zdaniem autora — przypadek. Kiedy nam się wydaje, że człowiek umarł ze starości, mylimy się. W starym człowieku zniszcza się po prostu odporność. Stary człowiek łatwiej zapada na chorobę, ale trudniej mu jest ją zwalczyć.

Autor bardzo ciekawie interpretuje społeczne podłoże śmierci. Udowodnia, że długość życia zależy od warunków społecznych. Pokazuje, jak w ustroju socjalistycznym wzrasta przeciętna długość życia, jak nauka walczy o życie człowieka, jak stara się ograniczyć zjawisko śmierci, jak i w tej dziedzinie przejawia się wielka troska o człowieka.

Czytelnik zamyka książeczkę Grębeckiego z pewnym zapasem wiedzy o... życiu, z przekonaniem, że śmierć nie jest „karą za grzech pierworodny”, lecz zjawiskiem naturalnym, ściśle związanym z samą istotą życia, wynikającym z samego życia, z jego przebiegu.

„Czy był początek i czy będzie koniec świata?”. Taki jest tytuł innej, wydanej przez „Wiedzę Powszechną” książeczki — Wł. Kozłowski. Jest to jedno z zagadnień, które nurtuje ludzką ciekawość od niepamiętnych czasów. Powstały na ten temat najrozmaitsze sprzeczne z sobą legendy i wyobrażenia. W miarę rozwoju sił wytwórczych i kształtowania się formacji społecznej ludzkość stopniowo wyzwała się z legend i mitów. Powstawały pierwsze systemy naukowe. W średniowieczu wiadomości, które rzeczywiście były oparte na okrucieństwach prawdziwej wiedzy, tonęły w odmętach scholastycznych wywodów.

Dopiero rodząca się nauka nowoczesna, posługując się doświadczeniem jako właściwym źródłem poznania świata, rozpoczęła walkę z przesądami i autoritetami. Odrzuciwszy legendy i obalając stare wierzenia, tworzy ona coraz bliższy rzeczywistości system wiadomości o świecie, sprawdzonych i udowodnionych przez praktykę. Dzięki genialnym pracom Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, stworzony został doskonały instrument badania naukowego — metoda materializmu dialektycznego, która stała się potężną dźwignią rozwoju postępowej nauki, szczególnie nauk przyrodniczych. Praca Kozłowskiego, wyjaśniając w sposób przystępny podstawowe prawa przyrody, na pytanie, czy był początek i czy będzie koniec świata, daje uspokajającą odpowiedź: Nie. Świat nie miał początku i nie będzie miał końca. Jest on nieskończony, nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie, tzn., że był, jest i będzie zawsze.

Obie prace — zarówno Grębeckiego, jak i Kozłowskiego — napisane przystępnie, żywo, przyciągną się niewątpliwie do czytelnika niejednego przesadą, nie jednego pokutującego jeszcze w wielu głowach fałszywego sądu o życiu i o świecie.

St. O.

*) Andrzej Grębecki. Co to jest śmierć? Wiedza Powszechna. Warszawa 1954.

**) Wł. Kozłowski. Czy był początek i czy będzie koniec świata? Wiedza Powszechna. Warszawa 1953.

I dobry humor kierowców samochodowych. We wszystkich tych miejscowościach wczasowicze skarżą się nie tylko na brak stałej komunikacji, ale na zupełny brak rozry-

wek. Na szczęście dopisuje pogoda — plaża jest największą atrakcją.

W lipcu oczekuje się tu przybycia dużych partii dzieci z całej Polski. Są tu domy wypoczynkowe dla dzieci pracowników „Prasy”, dla rodzin Miejskiego Przedsiębiorstwa Autobusowego z Warszawy, dla dzieci ze szkół podstawowych z Dolnego Śląska (dzieci z Pomorza pojadą za to na Śląsk). Młodzież wczasowiczów jest tu jeszcze niewielka — główne masowe turnusy zapowiedziane są na lipiec i sierpień.

Miejmy nadzieję, że do tego czasu usprawni się komunikacja i że troska o życie kulturalne ogarnie nie tylko Międzyzdroje, ale i te tak sympatyczne i popularne mniejsze miejscowości wczasowe na Wolinie.

F. J.

Towarzysz chiński opowiada o „Ojcu HO”

Wspomnienie z Korei LIDII OW CZARZAK

Było to w listopadzie ubiegłego roku. Pracowaliśmy wówczas w Grupie Inspekcji Państw Neutralnych w Korei. Prasa z kraju ojczystego dochodziła do nas ze znacznym opóźnieniem, więc nasi towarzysze chińscy stawali się dostarczać swoje dzienniki wydawane w języku angielskim.

Listopadowy wieczór koreański na północy był przejmującym chłodny. Od Morza Żółtego dął silny wiatr. W moim wysokim lecz niedużym pokoju o dwu ogromnych oknach, mimo ognia palącego się w żelaznym piecyku przywiezionym z Polski, (centralne ogrzewanie domu było uszkodzone) hulało zimno. Siedzieliśmy okryci futrzanymi kurtkami, pochyleni nad szpalta chińskiego dziennika „Daily News Release”, wydawanego przez Nową Agencję Hsinhua. Tymczasem artykule o Wietnamie, chcąc w dniu następnym urządzić dla kolegów prasówkę.

Obok mnie siedziała czeska tłumaczka Irka Soldat, towarzysząc chiński, który przyniósł gazetę — Szou Min Hy oraz młody bohater „Czo-son In-min Gun-de” — nazwiskiem Kim-Te Son. Za oknem słychać było odgłos pracującego na drugą zmianę tartaku i szum wody kanału, którym spławiano się drzewo do rzeki Jalu.

Pracowaliśmy, pomagając sobie wzajemnie w tłumaczeniu. W świetle elektrycznej lampy czytaliśmy słowa Le Dinh Than'a:

„Osiem lat temu, w sierpniu 1945 r. kiedy wojna partyzantka przeciwko japońskim agresorom została doprowadzona do zwycięstwa, naród Wietnamu, który cierpiał niemiłosiernie pod okupacją japońską po wieloletniej walce o wolność — ustanowił własną Republikę pod przewodnictwem prezydenta Ho Szi-Mina.”

Nabraliśmy oddechu. Ponieważ chiński tun-dz***) nie bierał się do wyjścia, nie chcąc nam przeszkadzać, dziękowaliśmy mu za dostarczone gazety. Ale Szou zatrzymał się jeszcze w progu pytając nas, czy może nam być w czymś pomocny.

— Bo... widzicie — rzekł — może by wam coś więcej powiedzieć o prezydencie Ho Szi Minie?...

Zgodziliśmy się chętnie, za sprasząc serdecznie Szou'a. Kim Te-Son skorzystał z naszego zamieszania i dołożył sukcesu***). Ognia. Przygotowaliśmy notesy, a Szou rozpoczął opowiadanie.

Prezydent Ho Szi Min pochodzi z tej części Wietnamu, gdzie opór przeciwko francuskim najeźdźcom nigdy nie zamilkł. Ho Szi Min — zwano wówczas patriotą Nguyen Ai Quoc Johna.

Jak na komendę podsunęliśmy z Irką Soldat notesy, aby nasz przyjaciel napisał to trudne do spamiętania nazwisko. Po chwili Szou mówił dalej:

— Ho Szi Min — mając 23 lata, opuścił swój dom rodzinny i przyjął zajęcie chłopca okrętowego na francuskim okręcie handlowym. Zwiędził większość głównych portów świata, toteż włada pięcioma językami.

— Tak. Te szczegóły z życia wielkiego rewolucjonisty nie były nam znane, chociaż wiedzieliśmy, że Ho Szi Min, jeszcze w czasie konferencji wersalskiej, w 1919 roku przekroczył próg pałacu, gdzie obradowali przedstawiciele wielkich mocarstw i na czele delegacji żądał wolności dla Indochin. Ale wówczas ani Clémenceau, ani Lloyd George ani amerykański prezydent „humanista” Woodrow Wilson nie chcieli słyszeć o postulatach azjatyckiego ludu domagającego się niepodległości...

Opowiadał dalej nasz chiński towarzysz.

— Naród wietnamski kocha swego „Ojca Ho”, który ma dziś 64 lata. Jest on dobrym przyjacielem każdego człowieka. Mimo podeszłego wieku odwiedza wioski (jeździ konno), rozmawia z ludźmi dopytując ich o troski, kłopoty, potrzeby. Ten własnie bezpośredni stosunek zjednał mu ogromne zaufanie. Jego imię znaczy tyle, co „ten który oświeca” — tłumaczył nam Szou — i rzeczywiście. On i Partia Pracy, którą kieruje, przynosi z sobą światło. W Demokratycznej Republice Wietnamu w minionych dziesięciu latach

dziesięć razy więcej ludzi nauczyło się czytać, niż w ciągu 70 lat panowania rządów francuskich. Praca, prostota, sprawiedliwość i jedność — oto cztery cnoty, które zaleca „Ojciec Ho” swemu narodowi. Wietnamscy kochają go nie tylko za serdeczny stosunek do każdego z kim rozmawia, którego sprawę załatwia, a także za męstwo, którego wiele dowodów dał w czasie swego życia. Poświęcił je wolności swego ludu.

Było w tej naszej rozmowie prowadzonej w Korei coś dziwnego; czuliśmy to wszyscy, nie wypowiadając na głos. Czuliśmy się serdecznie związani z walczącymi o wolność narodami Indochin — my, którzy z bliska patrzeliśmy na życie ludów Dalekiego Wschodu. A oni... Koreańczyk i Chinczyk jeszcze przed parą miesiącami walczyli z agresywnymi imperialistami.

— To właśnie rozejm w Korei umocnił wiarę, że jednak będzie można rozwiązać konflikty międzynarodowe drogą pokojowych pertraktacji. No i przekonaliśmy się, że imperialiści nie są tak silni. Towarzysze wietnamscy na pewno nie dadzą się wojskom kolonialnym — powiedział na zakończenie Szou.

Kiedy zegnaliśmy naszego przyjaciela, drogą mleczną, którą Koreańczycy nazywają „srebrną rzeką” — błyszczała na niebie, jak diamentowy szlak.

*

Teraz przypominają się te słowa opowiadania Szou'a. Armia Ludowa, która wychowała „Ojciec Ho” — zdobyła już twierdzę Dien Bien-fu, a naród francuski domaga się zaprzestania wojny; rząd francuski zaczyna być skłonny do pokojowych pertraktacji. W tym przecieciu sensie wygłosił swoje exposé nowy premier (po obaleniu własnie wskutek przewlekanych konfliktów indochińskich — Laniel). Mendes-France będzie więc w Genewie rozmawiał z delegatami ludu indochińskiego, który sobie sam wywalczył drogę do wolności.

Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że mocarstwa kolonialne nie mają innego wyjścia: muszą zrezygnować z zagrabionych posiadłości. Nie można przecież bez przerwy prowadzić „brudnej wojny”, która nie oprócz kłeski i kompromitacji przyniesie im nic.

*) „Koreańska Armia Ludowa”
**) Towarzysz.
***) Węgiel.

Po „linii języka”

Leszek Prorok

Jako wyrostek przeżyłem okres silnych pretensji do logiki języka za układ rodzajników. Skąd ta szafa i ten stół? Kto tak ustalił? Gdzież tu racja, jeśli w innych językach bywa właśnie przeciwnie. Przypadek czy widzi mi się zamierzalnych pokoleń?

Później zacząłem tropić igrzyski logiki w zwrotach językowych. Nie mówili już „dowolenia panu”, lecz akcentowałem wyraźnie „do widzenia się z panem!”. Było to arcylogiczne, ale brzmiało nieładnie i po niejakim czasie coś kazalo wrócić do nielogicznego zwrotu.

Te oraz liczne inne serdeczne zwady z językiem aważały uwagę na ciekawostki i schozowania mowy. Czujność ta wyraża się zarówno w oburzeniu jak w zachwycie. Do dziś na przykład ciepło zapalczywie nadmiar imiesłowów z jakim przeciętny, dobrze mówiący Polak, przelewa na papier swe myśli. Cenię słowotwórców i mimo wolnych humorystów, którzy rozsiewają nieoczekiwane, zaskakujące przenośnie czy skojarzenia.

Poznanie nowego wyrazu, nowego zwrotu czasem darzy satysfakcją, czasem zgryzotą. Zmienne losy znanych słów, dawnych przyjaciół, czy nielubianych pyszałków, przypominają znajomości ludzkie. Jest z nimi tak cicha jak z obrywanym listków akacją. Są wyrazy i zwroty, które lubię, kocham, które szanuję, których nie chcę... Nie chcę! Ot choćby koszmarnego dziwulagu, jaki ostatnio włączyłem do kolekcji słów zasłyszanych. Czy wiecie jak brzmi liczba mnoga od popularnego dziś rzeczownika plenum? — Plenumy!!! Słyszałem gdzieś, że „plenumy” pewnego związku zawodowego przebiegają w atmosferze siarczystej nudy.

Nie ta jednak nieszczerza liczba mnoga stworzyła pretekst dla niniejszego felietonu. Jeden z przyjaciół przekazał mi wyjątki z wypracowań uczniowskich. Sprzed roku co prawda, ale autentyczny. Rzeczywiście było co czytać. Oto fragment omówienia „Krzyżaków”: „Zbyszek po śmierci Danusi popadł w żalobę, a po chwili ruszył w dalszą drogę...”. Kochanowski zaś „siedział pod liptą i nie wychodząc w pole miał pięćdziesiąt dzieci”. Przypomnijcie sami, drodzy czytelnicy, czy nie efektownie wyglądała sformułowania analizy „Pana Tadeusza”: „Telimena dała hrabiemu kwiatek, a Tadeuszowi kluczyk i papierkę”, zaś „ksiądz Rohak miał wyrzuty po mordzie”. Rekord tej wielobarwnej łacizny, z której uszczknąłem zaledwie kilka kwiat-

ków, biją niewątpliwie rozważania na temat „Boskiej Komedii”. „Dante pewna osoba zaprowadziła w takie miejsce, skąd słychać było jęki i stękania”. Sądząc z ujęcia, chodzi tu zapewne o „Piekieło”, pierwszą część włoskiego arcydzieła. Przegląd ten można pozostawić w kategorii żartów. Byłoby to jednak jeszcze gorsze zło, niż fakt niechlujstwa mowy w tych czy innych zeszytach uczniowskich. O piękno i jasność języka trzeba walczyć, w przeciwnym przypadku nieporadnie dziwolagi formy słownej przestaną powoli razić w wypracowaniach i w życiu. A przecież młodzież, której potrafimy wpoić ideał czystości i piękna mowy, może się stać wierną strażniczką tej narodowej wartości. Trzeba kłaść tamy trywializacji polskiego języka, przeciwdziałać anemii językowej, atakującej również młodzież.

Zasobność języka przeciętnego młodego człowieka nie pielegnowana maleje. Często pospiech skłania do skrótów wysłowienia, smutne jeśli kosztuje tego jasności. Od lekceważenia rygorów i bogactwa własnej mowy krok już tylko do językowego chuliganstwa. Stąd pokusa przekleństwa, jako skrótu o dużej dynamice. Chuliganowi językowemu wydaje się, że brutalizacja języka jest wyrazem siły. Typowy dla tej amysowości kult wartości pozornych.

Na tle arogancji słów-intruzów, słów-chuliganów, tym więcej boli dewaluacja i zanik niektórych słownikowych przyjaciół, właśnie z rzędu tych, których lubię i szanuję... Są wśród nich słówka drobne o niesłychanej mocy oddziaływania w zafetowanym środowisku, w dusznym tramwaju, w przewlekłym ogniu przed kasą. Niepozorne słówka: przepaszam, dziękuję i ich dalsi krewniacy.

Ostatnio coraz częściej słyszymy głosy potępiające zachwaszczenie języka bezdusznym sloganem, tandetą frazesu, metnostostwem. Schorzenia te bola szczególnie dziś, gdy upowszechnienie dóbr kulturalnych daje słowu olbrzymią szansę. Mówiąc upowszechnienie myślimy najczęściej o książce, a przecież i słowo mówione, rozmowa, należą też do kulturalnych wartości, też zasługują na upowszechnienie.

Uczmy się przeto mówić. Zebrań, narad, odczytów — poszerzają codziennie zasięg odbiorców słowa żywego, zaś nowo słuchacz, podobnie jak nowy czytelnik, posiada świeżość

odczucia, które bardzo wyraźnie dyktuje mu co piękne a co skażone. Tej świeżości nie wolno roztrwonić, zagłuszyć pływizną.

Mówcy i prelegenci powinni pamiętać, że trud ich mowy, bez względu na to co mówią, jest zawsze w pewnej mierze trudem literackim. Literatura zaczęła się od słowa żywego. Nim zapisano pierwsze zwójce papirusu i gliniane tabliczki, po świecie wędrowały pokolenia rapsoistów i opowiadaczy literatury, uczyli piękna treści i piękna formy. Dziś w tysiącach spotkań autorskich i odczytów, codziennie na falach radia odżywa znów literatura mówiona; kształci również smak i wyrobień językowe milionów słuchaczy.

Kształci, czy kształcić powinien? Wiele niestety przeczy o-rzekającemu trybowi tej myśli. Wydaje mi się, że czas i okazja po cennu, by wystąpić z pomysłem, który od dawna czeka na urzeczywistnienie. Po zlikwidowaniu analfabetyzmu rozwinął się żywy ruch czytelnicy. Powstają zespoły dobrego czytania. Rzućmy zatem równoległe hasło. Twórzmy ZESPOŁY DOBREGO MÓWIENIA! Ich przyrodzonym terenem winna być każda klasa szkolna i każda zakładowa świetlica. Jakież szerokie pole do szlachetnego współzawodnictwa, do walki o zaszczytny tytuł przodownika dobrego mówienia.

Nie myślę głosić kultu jałowej retoryki. Barokowe gadulstwo polskiej szlachty przyczyniło się do przegadania wielu cennych wartości. Nie wspólnego z gadulstwem nie ma troska o czystość, poprawność, a nawet — nie wstydzmy się tego godnego naszych czasów językowego postulat — o pewien wykwint języka, wykwint naturalnej prostoty. Należy walczyć o porządek w języku. Już przed wiekami twierdzono, że wszelkie piękno bierze się z porządku, zaś wymagane jasności i doskonałości proporcji jako miernika językowego piękna odziedziczyliśmy po najlepszych tradycjach rozwoju ludzkości.

*

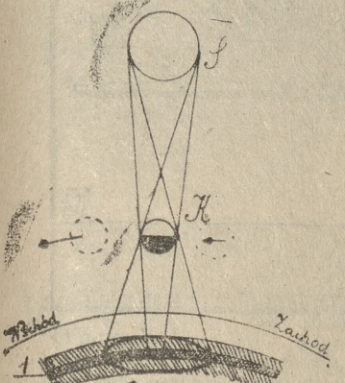
Do prowincjonalnej fermy drobiazkiej zjechał niespodziewanie inspektor wojewódzki. Któryś z przejętych fachowców usiłuje wybać o co chodzi tym razem:

— Wy dziś po jakiej linii? — pyta ostrożnie. Z oblicza inspektora promieniuje ważność, narzuca akcent odpowiedzi.

— Ja? Po linii jasi!

Otóż ja także, proszę czytelników. W sprawie ważnej. Arcyważnej. „Po linii” naszego języka!

SPĘLNIACZĄ ŻYCZENIE WIELU CZYTELNIKÓW, KTÓRZY W NASZEJ ANKIEcie DOPOMINAJĄ SIĘ O MOŻLIWIE OB-SZERNE INFORMOWANIE W SPO-SÓB POPULARNY O WSZYSTKICH BIEŻĄCYCH WY-DARZENIACH I NOWOŚCIACH NAUKOWYCH. DRUKUJEMY ARTYKUŁ O ZACMIENIU SŁOŃCA, KTÓRE BĘDZIEMY MOGLI OBSERWOWAĆ W NAJ-BLIŻSZA ŚRODĘ. KOMUNIKU-JEMY RÓWNIEŻ, ŻE W MOŻ-LIWIE KRÓTKIM CZASIE PO-DAMY PIERWSZE WYNIKI BADAŃ, JAKIE PRZEPROWA-DZA POLSCY UCZENI W PA-SIE CAŁKOWITEGO ZACMIENIA SŁOŃCA.



Schematyczny rysunek za-cmienia Słońca. Gdy Księżyc (K) znaj-dzie się między Słońcem (S) a Ziemią (Z), stożek jego cienia u-tworzony przez styżne zewnętrz-ne daje na Ziemi cień całkowity (czarna plama). Stożek styżnych wewnętrznych (do Słońca i Księ-życa) wyznacza na Ziemi — pół-cień.

Tegoroczne zaćmienie Słońca w dniu 30 czerwca będzie dla Polski niezwykle zdarze-niem. Ostatnie widziane było na naszym terenie w dniu 19 sierpnia 1887. Następnego nie zobaczymy przed rokiem 2160. Skąd ta data? Oto astronom austriacki Oppolzer wyliczył wszystkie zaćmienia Słońca aż po rok 2160 i zamieścił je w swym dziele „Canon der Fin-sternisse” (Księga zaćmień). Jest tam atlas mapek pasów całkowitości tych zaćmień.

Letnie i zimowe zaćmienia Słońca

Gdy ktoś nam poda datę za-cmienia Słońca, możemy od razu bez zaglądania do atlasu Op-polzera ustalić, na której pół-kuli będzie ono widoczne. Za-cmienia letnie są widoczne na półkuli północnej, która swym biegunem jest nachylona w stronę Słońca. Zaćmienia zimo-we, czyli w czasie kiedy półku-la południowa przeżywa swoje lato i jej biegun jest zwrócony ku Słońcu, są z natury rzeczy widoczne na półkuli południo-wej. Zaćmienia wreszcie wio-senne i jesienne, są najlepiej wi-dzialne między zwrotnikami, czyli w okolicach równika.

Zaćmienie Słońca powstaje wtedy, gdy między Ziemią a Słońcem wejdzie bryła Księżyca w ten sposób, że trzy te ciała niebieskie znajdują się mniej więcej na jednej prostej. Wów-czas Księżyc zasłania Słońce a jego cień pełny tworzy na Zie-

A więc już w środę!

Trzeba przygotować zakopcone szkielka do obserwacji ciekawego zjawiska pełnego zaćmienia Słońca

mi figurę kształtu koła. Cień ten porusza się szybko na dłu-gości około 10 000 kilometrów, w kierunku od zachodu na wschód, czyli w tym samym, w jakim Księżyc porusza się na niebie w stosunku do reszty gwiazd. Ruch pozorny Księży-ca po niebie, wynikający z o-brotu Ziemi, ma kierunek od wschodu na zachód.

Zaćmienie całkowite jest wi-dzialne tego roku w pasie o szerokości około 153 kilometrów w okolicach Bałtyku, a pas ten przebiega też przez skrawek Polski na północny wschód od Augustowa. Objęte nim będą na przykład Suwałki, Sejny, Trakiszki itp. „Faza” zaćmie-nia czyli niewidoczna część średnicy Słońca wynosi w Polsce od 0,87 w Jeleniej Górze, 0,95 w Warszawie, 0,91 w Poznaniu, do 0,999 w Augustowie i 1,00 w Suwałkach itd.

Przypominamy termin — godzina 12.40

Większość kraju będzie więc przeżywać zaćmienie częściowe. Księżyc krótko przed godz. 13 zacznie nasuwać się na tarczę Słońca, zlobiąc w niej coraz więk-szą szczerbę — od strony za-chodniej poczynając. W chwili najwyższej fazy, około godziny 14, pozostanie z tarczy sło-necznej widoczny tylko wąski sierp, którego rożki będą skierowane ku górze. Na północ od pasa całkowitości, na przykład w Moskwie widz będzie oglą-dać Słońce — rożkami na dół. To znaczy, u nas Księżyc mija tarczę Słońca nieco wyżej, pozostawiając na widoku jej część dolną.

Obserwatorzy, którzy w Su-walkach i okolicy będą oglą-dać zaćmienie całkowite, procz innych osobliwości, zobaczą e-fektowne zjawisko, zwane ko-roną słoneczną. Daleko poza tarczę ciemnoszarego Księżyca rozciągać się będzie szeroka po-świata korony o kolorze od czerwonego i złotego do szaro-

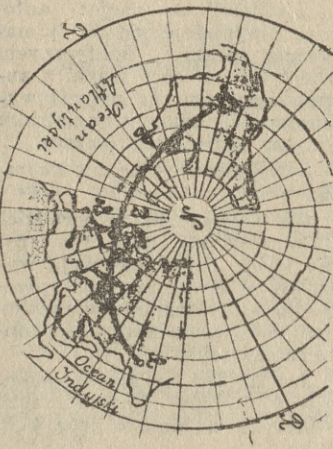
srebrnego. Wybiegać z niej bę-dą na prawo i lewo podłużne promienie.

Istota korony nie jest jesz-cze dokładnie określona. Być może jest to świecący pył kos-miczny, może elektrony, wyla-tujące z atmosfery słonecznej?

Podczas całkowitego zaćmie-nia panuje mrok nieco jaśniejszy, niż podczas pełni Księży-ca. Przyczyną tego jest czer-wona zorza na horyzoncie, któ-ra rozświetla ciemności spowo-dowane zniknięciem Słońca. Zo-rza ta powstaje w ten sposób, że światło słoneczne, padające na atmosferę poza stożkiem cienia pełnego, otacza jakby jasnym wieńcem pole zaćmienia całkowitego.

Cykliczny smok co 18 lat i 10 dni

Już w odległej starożytności babilońscy astronomowie zro-bili ciekawe odkrycie, że za-bie-



Pas całkowitego zaćmienia (gru-ba czarna linia) ciągnie się na powierzchni Ziemi od punktu A (szer. geogr. półn. 42°21', dług. geogr. zach. 99°04') w stanie Ne-brasca (Amer. półn.) — do punktu C (szer. 26°18', dług. wsch. 73°56') w Indiach.

ćmienia Słońca i Księżyca po-wtarzają się co pewien czas, zwany okresem albo cyklem „Saros”. Okres ten wynosi o-krągło 18 lat i 10 dni. Oznacza to, że dane zaćmienie, na przy-kład tegoroczne z 30 czerwca powtórzy się za 18 lat i 10 dni mniej więcej w taki sam spo-sób. Istotnie Oppolzer podaje, że w roku 1972 odbędzie się za-cmienie, jednakże pas całkowitości ominie Polskę. Poprzednie zaćmienie należące do tej sa-mej serii sarosowej było w ro-ku 1936.

Astronomami w starożytno-ści byli niemal wyłącznie kapłani, utrzymujący lud w ciem-ności i postrachu przed rzeko-mymi siłami nadprzyrodzonymi. Przepowiadanie zaćmień i połączonych z tym katastrof

było sposobem dla trzymania tłumów w ryzach. Za sute ofia-ry kapłani „odczyniali” zaćmie-nie, każąc uciekać „smokowi”, który chciał pożreć Słońce. Smok posłusznie uciekał z szyb-kością 1 kilometra na sekundę, bo był nim — Księżyc, który i bez czarów zawsze ustępuje. Zaćmienie zaś nie przynosi ni-komu żadnego nieszczęścia.

30 tysięcy turystów — do Suwałk

Inaczej byłoby dziwną rzeczą, że wiele dziesiątek tysięcy tu-rystów wybiera się do Suwałk i okolicy, aby na własne oczy ujrzeć, jak księżycowy „smok” na całe dwie minuty „pożre” nasze Słońce. A astronomowie za-lajują, że tylko — tak na krótko!

Także i w reszcie kraju, gdzie zaćmienie będzie tylko częściowe, warto będzie je o-bejrzeć, ale tylko przez zakop-coną szybkę, aby nie zepsuć so-bie oczu!

E. BIAŁOBORSKI

Pies myśliciel

TAJNIKI żonglerskiego kunsztu fok

Anna Durowa układa koli-ście na scenie arkusze tekstu-ry, na których widnieją kolej-ne cyfry, po czym dyktuje ma-dremu psu — „Sztuczce” — nieskomplikowane zadanie a-rytmetyczne. „Sztuczka” bie-ga przez pewien czas wokół sceny, po czym chwytając mordą odpowiednią cyfrę przy akom-paniamencie o klasków za-chwyconej wi-downi. Zada-nie zostało roz-wiązane pra-widłowo!

Alż, oto młodociani widzo-wie postanowili wypróbować zmyślność „aktora”. Widząc, że wśród cyfr brak zera, py-tają chyttrze: Ile jest pięć plus pięć? „Sztuczka” natychmiast chwytając jedynkę, po czym wi-docznie zbita z tropu, błąka się po scenie. Anna Durowa rozkłada bezradnie ręce. I na-gle „genialne” zwierzę znalazło wyjście z sytuacji: staje tuż przy jedynce i zaczyna się krę-cić, opisując koło. Młodociana widownia szaleje...

Pies, który umie myśleć? Nic podobnego. Myślenie, nie-odłączne od świadomości, właści-we jest jedynie człowiekowi. E-fektowne zaś popisy psów, koni czy morskich świnek, są wyni-kiem tresury.

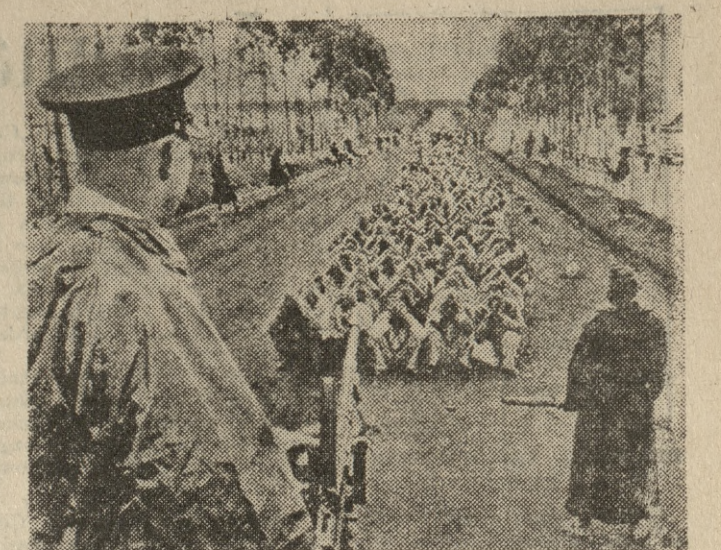
Tresura — nie dla rozrywki

W Moskiewskim Ośrodku im. W. Durowa — jednej z nielicz-nych w świecie instytucji, gdzie tresura nie ma ani celów rozry-wkowych ani merkantylnych, lecz jest przedmiotem badań nauko-wych — publiczność nie tylko podziwia ciekawe widowisko, lecz jednocześnie dowiaduje się, w jaki sposób można skłonić zwierzę do wykonywania ru-chów, dających mu pozory isto-ty myślenia. Innymi słowy — jak kierować zachowaniem się zwierzęcia.

Tresura znają ludzie od wie-ków. Dzięki tresurze człowiek potrafił oswoić dzikie psy, ko-nie, jelenie, woły i przeistoczyć je w swych przyjaciół i pomoc-ników. Z pokolenia na pokole-nie zwierzęta coraz lepiej nada-wały się do tresury. Każde w swojej dosyć wąskiej specjalo-ści. Jedną rasę psów przyuczano do polowania, inną do wojen-nych, jeszcze inną do strzeżenia stada, czy też siedzby ludzkiej. Dziś tresura zwierząt domowych stosowana jest na każdym kro-ku, nawet tam, gdzie nazwa ta-ka nie jest używana. Nie mówi się np. o tresowaniu krów a przecież, aby krowę wydoić, trze-ba najpierw nauczyć ją stać spo-kojnie w czasie dojenia. Kury uczy się przybiegać na wołanie gospodyni itp.

W drodze do nauki

Jeśli chodzi o tresurę lwów i innych zwierząt drapieżnych to zasady tej tresury — pomijając fakt, że jest ona znacznie nie-bezpieczniejsza — pozostają te same, co i wobec zwierząt do-mowych. Jakże są te zasady? Starsze przysłowie ludowe głosi: Gdy długo bić zająca, to nauczy się ogieć krzesło. Bicie, jako metoda wychowa-wania, należy do najstarszych tra-



Uśmiech królowej Elżbiety i... szubienice

Małego Murzynka ubrano w śnieżnobiałą koszulę, wymywszy go uprzednio i na-tarższy „wonnosciami”. Potem wciśnięto mu do ręki bukiet kwiatów... „I witaj teraz królo-wą Elżbietę”, która w swej po-droży po koloniach angielskich w Afryce, przybyła do Ugandy. Królowa uśmiechnęła się czule

(raczej do fotoreportera niż do Murzynka) wzięła kwiaty, po-dobnie jak jej pełnonocnicy... Tylko, że oni nie kwiaty biorą, ale wszystkie najcenniejsze bogactwa tej ziemi: wełnę, drzewo, rudy.

Krótko przed przybyciem an-gielskiej monarchini, poczy-niono na pograniczu Ugandy, mianowicie w Kenii, energiczne kroki, celem stłumienia wolno-sciowych ruchów Murzynów. Po co? Żeby, broń Boże Anglię, odgłosy tych ruchów nie do-tarły do uszów królowej i nie przeszkodziły jej w dalszym ciągu uśmiechać się.

Długo też 5000 angielskich żołnierzy i policjantów uzbro-jonych „po zęby”, dokonało w Kenii olbrzymiej łapanki. 40 tysięcy Murzynów ze szczepów Kikaju, Embu i Mera pope-dzono do obozów koncentracyj-nych, gdzie druty kolczaste, wieże wartownicze i szubienice są takie same, jak niegdyś w: Auschwitz, Dachau i Stut-hof.

Wszystko w porządku: królo-wa Elżbieta może z uśmiechem odebrać kwiaty od małego Mu-rzynka.



Fabryka odruchów

— Mówcie co chcecie — zaopo-nuje niejednen czytelnik — ale nikt mnie nie przekona, że zwie-rzę nie myśli.

A jednak to prawda. Prawda jest, że cała tresura opiera się na odkrytych przez Pawłowa odruchach warunkowych. Rzeczą tresera jest wykształcić w zwie-rzęciu odpowiednie odruchy. W tym celu musi on przede wszystkim postarać się o przy-wiązanie zwierzęcia, a następnie przez dłuższy czas obserwować jego zachowanie się i obcyżaje.

Jak nauczyć lisa tańczyć? Otóż do zwykłych ruchów tego zwie-rzęcia należą podskoki, w czasie których lis stoi przez chwilę na tylnych łapach. Treser trzyma kawałek mięsa na końcu palczki — gdy lis stanie na tylnych łapach, otrzymuje nagrodę. Mo-ment ten treser przeciąga coraz bardziej, wskutek czego lis co-raz dłużej utrzymuje się w pozycji stojącej. Calej tej procedu-rze towarzyszy jakiś sygnał dźwiękowy (okrzyk). W mózgu lisa wykształca się w ten sposób odruch warunkowy stawiania na tylnych łapach na widok mięsa, lub na dane hasło. Później wy-starczy już tylko, kiedy lisa po-dskoczy, na dźwięk którego lis zaczyna tańczyć.

Opisaliśmy sztukę dość łat-wą, ale na tej samej zasadzie uczy się zwie-rzę sztuk najbar-dziej skompliko-wanych. Tyle, że nauka jest znacznie trudniejsza, wchodzi tu bowiem w grę cały kompleks ruchów zwierzęcia i wyeliminowanie ruchów zbędnych. W ten sposób np. uczy się foki grać w piłkę, żonglować nią na końcu nosa. Wymaga to długotrwałej żmudnej pracy i ogromnej ciero-liwości.

Badania Moskiewskiego Do-świadczonego Ośrodka Tresury posiadają poważne znaczenie, za-równo naukowe jak i kultural-no-oświatowe. Rozpraszają wszelkie nienaukowe mity o „myśl-nych zwierzętach”, wzbogacają naukę Pawłowa o odruchach wa-runkowych. Przede wszystkim zaś — usuwają grunt spod nóg różnego typu szarlatanów, ba-mucujących otoczenie gadaniną o cudownych właściwościach swych czworonoznych pupilów.

Tu i tam

WIELKI RADZIECKI TAN-KOWIEC „KLAJPEDA”, zbudowany w Związku Radzieckim, zo-stal niedawno spuszczonej na wodę. Tankowiec o długości 145,5 m posiada pojemność 10.000 ton i jest pierwszym z serii, która już jest w budowie. Należy do naj-większych statków tego typu na świecie. Konstrukcja kadłuba jest spawana. Pomieszczenia dla załogi są urządzone z pełnym komfortem. Budowa trwała... sześć miesięcy.

WIELORYBY NIE LUBIĄ UL-TRADZWIĘKÓW. Pozwoliło to zbudować specjalne urządzenie do wykrywania morskich ssaków. Pod statkiem wielorybni-czym umieszczono się zespół apa-ratów, które w krótkich odstę-pach czasu wysyłają kierowane impulsy ultradźwiękowe. Wielo-ryby uciekają przed ich działa-niem, zrywając więcej powietrza i musząc częściej wypływać na powierzchnię, gdzie zaradają swą obecność wyrzucaniem fon-tan wody. W Norwegii zaopa-trzone w takie urządzenia więk-szą ilość statków służących do połowa wielorybów.

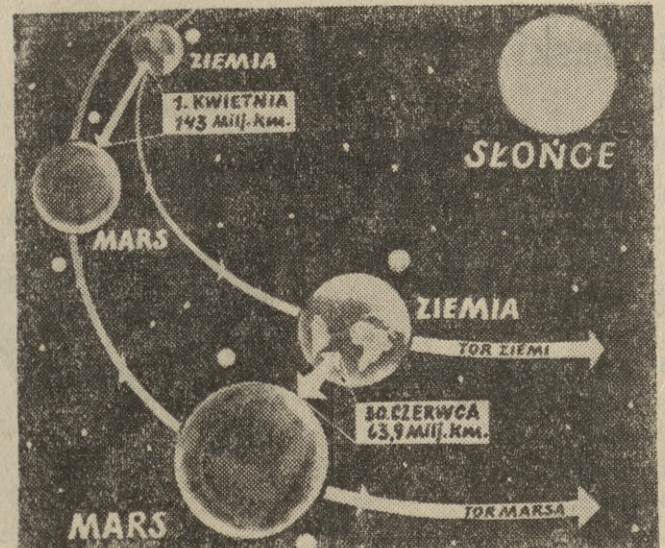
LILIPUCIE SILNICZKI ELEK-TRYCZNE wytwarzają się obecnie w Niemczech do napędu filmo-wych aparatów wąskotaśmo-wych. Silniczek posiada rozmiar-pudełka od zapalek 21x37x48 milimetrów, łożyska ślizgowe specjalnej konstrukcji, mecha-niczny regulator obrotów. Pa-dzone za pomocą kieszonkowej baterijki.

„Opozycja” Marsa — także w środę

Największe teleskopy świata w największych obserwato-riach astronomicznych skierują się niebawem na ową planetę, która nocą świeci zawsze jasno-czerwonym blaskiem. Chodzi tu o „brata” naszej Ziemi — o Marsa. On to właśnie budzi te-raz wśród naukowców i astro-nomów ogromne zaniepokojenie: od odkrycia Marsa badacze fir-mamentu napotykały stale na przeróżne zagadki, jakie planeta ta nastrocza. Do dzisiaj nie zo-lano na nie znaleźć odpow edzi, aczkolwiek dokonano niemało odkryć.

Przed wszystkim zdołano już obliczyć odległość Marsa od Zi-emi: waha się ona między 54 a 400 milionami km. Bagatel!

I o 30 km. przybliży się do nas Mars na odległość „z ię-dwie” 63,5 milionów km. Jest to rzadka okazja, po której na-ukowcy duże sobie obiecują. Być może, że niektóre tajemnice na-



szego „brata” zdoła się choć w pewnej mierze wyświecić. W teleskopie przedstawia się Mars bardzo szczegółnie. Jego po-wierzchnia to wielkie „plamy” jasnoczerwone, niebieskoszare, a do ciemnobrązowych.

Astronomowie uważają, że ja-sne płaszczyzny to najprawdopodobniej pustynne konfityenty, strefy o zielonym zabarwieniu, to chyba żyzne polacie o jedno-stajnej roślinności.

Głównym jednak zagadnie-niem, które zaprzata umysły wy-bitnych naukowców, to sprawa istnienia na Marsie istot ży-wych, nie roślinnych. Nie wia-

domo bowiem, czy powłoka po-wietrzna, otaczająca „bratnią” planetę, stwarza niezbędne wa-runki do rozwoju życia zwierze-cego. Natomiast dość nieprawdopodobne jest przypuszczenie, ja-koby Mars zamieszkiwały istoty podobne do człowieka.

Tym razem „tylko” 64 miliony km dzielić nas będzie od Marsa w dniu 30 czerwca br. Następne spotkanie (zwane „opozycją”) między Ziemią a Marssem nastą-pi w 1956 r. Wtedy to będziemy mieli „drogiego sąsiada” zupeł-nie bliźutko: 54 miliony km!

A więc prawie „pod nosem” Ziemi...





Automat do tłumaczenia

A amerykański tygodnik „Colliers” donosi, iż zmontowano pierwszy aparat elektroniczny, służący do automatycznego tłumaczenia z jednego języka na drugi. Na pierwszej próbie aparat przetłumaczył z angielskiego na rosyjski dwa zdania dotyczące kalorycznej zawartości węgla i jakiegoś twierdzenia geometrycznego.

„Colliers” wyraża powątpiewanie co do możliwości funkcjonowania aparatu w dziedzinie tłumaczeń politycznych ze względu na różnice światopoglądowe.

Podzielamy wątpliwości „Colliersa”. Te tłumaczenia mogłyby wyglądać na przykład tak:

PRZEMYSŁ SAMOCHODOWY NA ZACHODZIE

— Oto nareszcie typ samochodu dla biednych... Dla tych strajkujących, oczywiście...

Jan Szela

TEKST: „Wierzmy w niezaprzeczalność praw, że Bóg stworzył wszystkich ludzi równymi, że obdarzył ich nienaruszalnymi prawami — Życia, Wolności i dążenia do Szczęścia”.

AUTOMAT: Oczywiście z wyjątkiem Murzynów amerykańskich.

TEKST: „Gdziekolwiek forma Rządu staje się szkodliwa w swych wynikach, Prawem jest ludu zmienić ją lub znieść i ustanowić nowy Rząd na takich zasadach, oraz zorganizować jego władzę w taki sposób, jaki ów lud będzie uważał za najbardziej odpowiedni dla swego Bezpieczeństwa i Szczęścia”.

AUTOMAT: Nie dotyczy to oczywiście ludów, które obalają władzę monopolu i wprowadzają socjalizm.

TEKST: „Król... przeprowadził poddanie nas prawodawstwu, obcemu naszej konstytucji... zakwaterowując wśród nas znaczne oddziały zbrojnych wojsk”.

AUTOMAT: Jak to obecnie czynią USA z wieloma krajami zachodniej Europy.

TEKST: „... odgrodził nasz Handel od wszystkich części świata...”

AUTOMAT: Powszechna to dziś skarga krajów zachodnich na politykę Stanów Zjednoczonych.

TEKST: „Rabował na naszych morzach, pustoszył nasze wybrzeża, palił nasze miasta, pozabawiał życia naszych mieszkańców”.

AUTOMAT: Jak obecnie poczynali sobie Amerykanie w Korei.

TEKST: „Przewozi obecnie wielkie armie obcych żołdaków, aby dopełnić dzieła mordu, zniszczenia i tyranii, rozpoczą-

tego i prowadzonego z okrucieństwem i wiarołomstwem, nieznanym nawet w czasach największego barbarzyństwa, a już zupełnie niegodnym głowy cywilizowanego narodu”.

AUTOMAT: Chodzi tu o transportowanie francuskiej Legii Cudzoziemskiej do Indochin samolotami amerykańskimi.

TEKST: „Król zmusił współobywateli naszych, pojmanych do niewoli na otwartym morzu...”

AUTOMAT: „Praca” i „Gottwald”.

TEKST: „Król wyniósł wśród nas wewnętrzne bunty i próbował podburzyć przeciwko nam naszych pogranicznych mieszkańców”.

AUTOMAT: Gwatemala.

TEKST: „Książę, którego charakter Tyrana przejawia się w każdym czynie, nie może być władcą wolnego narodu”.

AUTOMAT: Mac Carthy.

TEKST: „Oni pozostali głusi na głos sprawiedliwości”.

AUTOMAT: „A to w związku z pierwszą rocznicą stracenia Rosenberga...”

☆

„Colliers” ma rację: automat nie nadaje się do tłumaczenia tekstów politycznych. Nie tylko na obce języki z angielskiego. On nie potrafi wytłumaczyć nawet w angielskim języku angielskiego tekstu.

Żywy człowiek też nie da rady.

Cóż możemy na to poradzić? Taki tekst, jak ten zacytowany, ma swoją siłę i ma swoją wymowę, skierowaną dziś przeciwko politykom amerykańskim. Jest to bowiem stary, ale buntowniczy tekst.

Jest to Deklaracja Niepodległości Stanów Zjednoczonych Ameryki z dnia 4 lipca 1776 roku.

„Szpilki”



„L'Humanité”
DULLES: „dnia trzeciego stworzył Pan Bóg „United Fruit Incorporation Limited”; po czym pewne obce plemie — Guatemalczyków, przywędrowało, by osiąść na tej ziemi.

AKT PIERWSZY



KONDUKTOR nr 158 (do pasażerów usiłujących wejść do przyczepki).

— Nie wolno wsiadać, wagon bez światła, precz od wagonu!

PASAZEROWIE: — Dobry człowieku wpuść nas do wagonu.

— Tak późno, do domu tak daleko. Mieszkamy na Dębce.

— Wracamy z pracy, jesteśmy zmęczeni.

— Zapłacimy przy wejściu, drugie drzwi można zamknąć.

„Nr 158”: — Nie wolno! Odejdź od wagonu!

AKT DRUGI



Wokół tramwaju zbiera się gęstniejący z minuty na minutę tłum.

PASAZEROWIE: — A cóż to za bezduszny konduktor! — To się nazywa „życiowe” wypełnianie obowiązków.

— Bez światła też dojedziemy.

„Nr 158”: — Jeżeli się odważyte wejść do wagonu, to, jak babcię kocham, każę motorniczemu skrócić w Strzelecką. Figę będziecie mieli, a nie Wilde i Dębce.

GŁOSY Z TŁUMU: — Szkoda, że nie ma tu waszej babci: zapłakałaby nad takim wnukiem.

— Nie nasza wina, że światła w wagonie nie ma.

— Trzeba było zgłosić uszkodzenie na punkcie kontrolnym.

AKT TRZECI



Tymczasem za „dwójką” przystawały zgrzytając na pochyłej ulicy Włki Miodych inne tramwaje przed zawałidrogą z „drewnianym konduktorem”. Wskazówki zegara dawno już minęły godzinę 23. Przed „dwójką” stałe rosący tłum. W nim pasażerowie z tramwajów czekających „w ognio”. „Nr 158” potrząsa bujną plerzą, by przeczącym ruchem głowy utwierdzić swe niezłomne stanowisko.

„NR 158”: — (na szynach przed wozem motorowym). — A ja wam mówię, że nie pojedę. Ani mi się śni. Nie ruszę z tych szyn, żebyście i kołmi ciągnęli.

Nadchodzi plutonowy Milicji Obywatelskiej, zjawia się kontroler MPK.

PLUTONOWY MO (do kontrolera MPK) — Czy pasażerowie mogą jechać tym wagonem?

KONTROLER MPK: — Ależ oczywiście, trzeba dbać o ludzi. Siadać, proszę państwa!

AKT CZWARTY



Nr 158 zmieszany w tłum uporczywie twierdzi, że nie pojedzie. Tymczasem pasażerowie zajęli miejsca w przyczepce... i tramwaj ruszył.

„NR 158”: — O, rety, ludzie, „dwójka” wieje.

(Pędzi co sił za tramwajem, który oddala się coraz znacznie).

PASAZEROWIE: (z ciemnego wagonu do pędzącego konduktora):

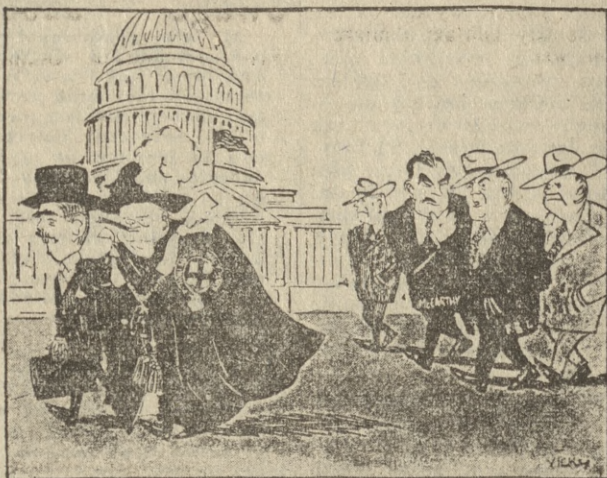
— Uwaga! „Warsztat pracy” daje drapak.

Koniec widowiska godzina 23.25.

Napisał t. h. n.

Scenograf: H. Derwich

Burżuazyjne pismo angielskie „DAILY MIRROR” w związku z podróżą Churchilla i Edena do USA drukuje karykaturę polityczną swojego rysownika VICKY.



Mac Carthy do Hoovera: „Zwracam uwagę, że jeden z nich był już w Związku Radzieckim, a ten drugi pertraktował z Chińczykami Mao-Tse-tunga w Genewie. Uważaj więc na nich!”

Witold Degler

Modelki-deski czyli o „Modzie” w tygodniku „Przekrój”

Czytuję „Przekrój”. Nawet dział „Moda”. Piękne tam stroje. Niestety — szkoda, że w sukniach w kwiatki, w białych, w niebieskich chodzą przedziwne modelki-deski... Słyszę od Henia, Miecia i Tolka: „Ta sucha „lady” — to ma być Polka? Co tydzień stwierdzam wśród tych modelek do naszej mody przemyt Angielek. Czy mają wzorem być pół-szkielety dla typu pełnej polskiej kobiety? Z żalu więc człowiek aż roni łezki, czytając dział od „deski do deski...”

Ryszard Podlewski

Szczerość całkowita

Teatr Satyryków wystąpił z nową premierą zatytułowaną „Na swojską nudę”

Samokrytyka — wszędzie pożądana.

Nareszcie mówią coś o swych programach...

Antoni Marianowicz

NIEBIESKIE PTASZKI

I

Chcę dziś poruszyć temat dość ważki Idzie o ptaszki. Niebieskie ptaszki Fruwają sobie swobodnie z miast ku Miasteczkom, wijąc gniazdko po gniazdku. Wybornie czują i pośród niw się — Znają je dobrze i miasta, i wsie. Po całym kraju trwa ptaszkowy wyścig: Tu wezmą pieczęć, tam znowu liścik, Tutaj dostaną jakiś papierek, Owdzie podpisów zdobędą szereg. Już mają tytuł, już stanowisko, Lecz nie wystarcza ptaszkom to wszystko.

Więc na pamiątkę kasę zabrawszy Pofruną zwiedzić teren ciekawszy. Znow się posadka znajdzie ciepłutka, Ptaszki wystrychną kogoś na dudka, Znow się oblowią, znow się upasą I dalej swoją polecą trasą. Zanim na koniec trafią do klatek Zdrowo nabroi każdy gagatek.

II

Ptaszek opinię przedstawił czyją? Kto potem ptaszka do pracy przyjął? Kto dał mu wszystko? Kto zbłądził się tak? Kto się pozwolił nabrać jak pęta? Nie personalnik to chyba, co się Grzebie oż przerwy w papierów stosie, Wszak, że woznej stryj siedział w ulu, Że goniec babkę ma w Honolulu, Że o wujaszku pana Michała W czasach sanacji prasa pisała (Prawda to święta, jako że lobuz Właśnie w tych czasach wpadł pod autobus), Że kum szwagrostwa panny Jadwigi Przed wojną często jeździł do Rygi I że zięć Jana (straszne to rzeczy!) Wciąż się z choroby (angielskiej!) leczy. Nie personalnik to chyba, który W stosach papieru siedzi, ponury, Z ludźmi nie gada, bez przerwy orze. To nie on chyba! Zresztą... A może?

„Szpilki”

NA MISTRZOSTWACH W SZWAJCARII



— Ratuj się, kto może!!! Przyjechali bombardierzy z Budapesztu!!!